



**Franciszek Lachocki**

**ZA  
KORONKOWE  
WIECZORY**

Copyright by Franciszek Lachocki  
New Jersey — 1984

Tegoż autora:

Gniazda jaskólcze — London 1970  
Modrzewiowy dom — London 1971  
Na brzozywej korze — London 1979

## BAJKO MOICH WSPOMNIENI!

Polesie. Polski stara miedza barwna,  
bagienna połać zadumy i czaru,  
prostotą szczerą i bajką figlarną,  
urzekająca dzikością moczarów.

Wozami skrzypiąca i bydła porykiem,  
śpiewem basów cerkiewnych aż po brzegi pełna,  
nocami kołysana poleskim słowikiem,  
lny twoje przędzywo, na zimę owcza wełna.

Płowe włosy chłopaków i dziewcząt warkocze  
i teraz widzę jasno, mimo lat upływu —  
i widzę jak się żuraw przy studni chybotcze —  
i słyszę śpiew żniwiarek — i rosnę z podziwu.

O, bajko moich wspomnień, poleska kraino!  
ludu zamyślony, w ziemi zakochany!  
Do ciebie moje myśli z tej oddali płyną, —  
zewnątrznie jestem spokojny, a w sercu — splakany.

## WSZYSTKO PRZEMIJA

W lesie jest błogo.  
Wiatr w czuprynach drzew zasypia.  
Idziesz drogą  
leśną, drzewa skrzypią.  
A tam, w przestworzach,  
których nikt nie ogarnie,  
ręka Boża —  
pozapala gwiazdy-laternie —  
i na nich —  
też może są lasy.

Ciche szelesty w mrowisku  
szepczą  
wieczne pacierze.  
A słońce,  
w czerwonym ognisku —  
warzy dla ziemi wieczerze,  
jadło kosmiczne,  
odżywcze —  
i tej nie na wieczne czasy.

## NAUCZCIE SIĘ

Nauczcie się modlić do roślin,  
by się spowiadać przyrodzie, —  
chwytajcie lasu oddechy,  
pijcie malin uśmiechy —  
i życie — w zgodzie.

Nauczcie się modlić w ciszy,  
samotnie, nie w gwarным tłumie:  
pośród stokrotek, złocieni —  
i w krwawej maków czerwieni —  
Boga szukajcie w rozumie.

Nauczcie się łowić zapachy  
czeremchy na wiosnę, a w lecie —  
lubinów, maciejki, rezedy,  
a gdy już umiecie, to wtedy —  
powiem... że żyjecie.

Nauczcie się kochać ojczyznę,  
gdzie matka dała wam życie,  
gdzie wierzby, sosny, topole  
przy drogach — i gdzie pole  
skąpane w ziemniakach i życie.

Nauczcie się śpiewać psalmy,  
nie Dawidowe — swoje —  
do przyleśnego ołtarza,  
gdzie echo śpiew wasz powtarza  
i łagodzi... niepokoje.

Nauczcie się wichrów skowytu,  
okiennic targanych łomotu  
w jesienne wieczory dżdżyste,  
a wiedzieć będziecie dlaczego  
Chrystus umierał w czas grzmotu.

## ZA KORONKOWE WIECZORY

Za kwiaty pachnące na łące,  
za lasy, pola i plony,  
za wszystko co żyje kwitnące —  
bądź, Boże, błogosławiony!

Za zieleni soczystą na ziemi,  
za rzeki płynące do morza,  
za rosę co w słońcu się mieni  
i za to, że piękna jest zorza.

Za kraj i za Twoje kościoły,  
gdzie śpiew jest i Słowo Boże,  
za dom i pełne stodoły,  
a w nich — chlebobajne zboże.

Za szkoły i język ojczysty  
i miłość do swego kraju,  
za błysk kryształowo-srebrzysty  
w swawolnym na skrętach ruczaju.

Za koronkowe wieczory  
w izbie jasnej, ogrzanej —  
podczas jesiennej pory  
wiatrem i deszczem splakanej.

Za śniegi białe, puszyste,  
za piękne polskie kolędy,  
za święto uroczyste  
i nasze gwiazdkowe obrzędy.

Za zieloności wiosenne  
i letnie kłosiste pola,  
za Twoje prawa niezmiennie —  
niechaj się dzieje Twa wola.

I niech świat to przyjmuje  
z synowskim wiernym oddaniem —  
i niechaj zatryumfuje  
Twa chwała, odwieczny Panie!

## A WOREK PLECY GNIECIE

Mokradła — i po nich dziewczęta  
stępują ostrożnie...  
Przygarbiona, rozpięta  
sosna rośnie wielmożnie.

Czarne wargi  
i czarne od jagód języki.  
Będą utargi,  
bo pełne koszyki.

Z krowiną na powrozk  
baba worek trawy niesie —  
i grudkę świeżego wosku,  
wybranego z dziupli w lesie.

Przetopi, świecę ulepi  
i będzie gromnica święcona; —  
choć dzisiaj czuje się lepiej,  
nie zgadniesz kto kiedy skona.

A worek plecy gniecie  
z trawą świeżą dla krowy.  
Dlaczego tak jest na świecie,  
że nikt na śmierć nie gotowy?

## CIERNIOWA KORONA

Szedł po ścieżce poleskiej,  
wydeptanej stopami,  
kłosy mu się kłaniały  
przy podmuchu — falami.  
Myśli miał wypełnione  
smutkiem poleskiej biedy,  
łzy mu w oczach stawały  
i spływały niekiedy.  
Patrzył na żytne pola,  
na tych wąskich zagonach  
i krwawiła mu głowę  
z ostrych cierni korona.  
Doszedł aż do pastwiska,  
na nim chude krowiny, —  
widać było że płacze.  
I podszedł do dziewczyny,  
która pasła krówki,  
bosa, w słońcu spłowiła,  
a gdy do niej się zbliżył,  
to Go zaraz poznała  
i pomyślała sobie —  
jaka wielka to laska  
widzieć Go tu żywego,  
a nie tylko w obrazkach.  
Więc ukląkszy szeptała  
swe codzienne pacierze,  
a On do niej podchodzi  
i na ręce ją bierze,  
błogosławi jej główkę  
i do serca tuli.  
Znikł. Krwi kropla została  
na jej zgrzebnej koszuli.



## REFLEKSJE

Chodzą z gwiazdą, jak cienie,  
„Nocną ciszą“ witają,  
betlejemskie zdarzenie  
ludziom wszem ogłaszają.

Nazareńskiemu Cieśli .  
Syn, stajenka i siano .  
Taką wieść ludziom nieśli,  
w śniegu brnąc po kolano.

I ubogo, i jasno,  
i gwiazda, i pacierze .  
Zanim ludzie dziś zasną, —  
klękną w nocnej „Ofierze“.

Biały obrus na stole,  
jeszcze bielszy opłatek .  
Dzisiaj siano w stodole  
ma biblijny dodatek.

W sercach ludzkich się budzi  
jakaś dobroć radosna,  
że już odtąd wśród ludzi  
cały rok będzie wiosna.

W domu drzewko jak panna,  
na nim piękne przybranie,  
a w kościele hosanna  
i rzewne kolędowanie.

W stajni siano pod Dzieckiem  
biło nieziemską luną,  
póki ręce zdradzieckie  
nie przykryły całunem.

Podnieś rączkę, Dziecino,  
daj im rozum i serce,  
niech już odtąd nie giną  
w międzyludzkiej szermierce.

Biorąc do ręki opłatek —  
w domu, z białego obrusa —  
pomyślcie — ile jest matek  
innych, niż Matka Jezusa.

## POKLON PASTERZY

Była cisza, nie było ani szelestu,  
a tu ciągnie gromada, może ich ze dwudziestu.  
Sandałami, tak idąc, nocą ciszę posiekli,  
aż się całą gromadą do stajenki przywlekli.

Zdala zorzę widzieli nad bydłą stajenką,  
a gdy weszli — Józefa zobaczyli z Panienką.  
I Dzieciątko na sianie, co w żłobie leżało,  
a to siano swym blaskiem niby słońce gorzało.

I zdziwili się bardzo, wielkim strachem przejęci:  
wszyscy mieli w stajence aureolę jak święci.  
Poklękali pobożnie, pochyliwszy swe czoła,  
a gdy znowu spojrzeli, zobaczyli anioła.

Słysząc było trąb granie i śpiew polskiej kolędy,  
łopot skrzydeł aniołów, coraz większe ich rzędy.  
„Bóg się rodzi“ — śpiewali pięknym głosem anieli,  
a pasterze słuchali — ale nie rozumieli.

Bo nie znali tej mowy — chyba jakaś z północy.  
Pójdzie w świat ona także — od dzisiejszej tej nocy.  
Betlejemska nowina, idąc stąd w różne strony,  
powie ludziom, że Jezus dzisiaj tu narodzony.

## TU BYŁA MOGIŁA

Tu była mogiła  
i krzyż przy niej.  
A teraz,  
w tym miejscu —  
tylko lekkie wklęsnięcie.

Matka mogiłę znalazła  
i ciało zabrała na cmentarz,  
na wieczne zaśnięcie,  
na odpoczywanie —  
i krzyż tam zaniosiła.

A ta dawna mogiła  
już trawą wysoką zarosła,  
tylko jaszczurki  
w tym dolku lubią się chronić  
i lzy jaszczurcze ronić.

Nie ma już mogiły w tym miejscu,  
ani krzyża —  
tylko świerszcze  
nie przestają  
— dzwonić.

## SIANOKOS

Wyszedł rano, o świcie, na zieloność łąki,  
stał twardo na gruncie, rozejrzał się w kolo,  
wsparł się mocno o kosę, poprawił pałaki —  
i oselką na stali zagrał pieśń wesolą.

Była to pieśń odwieczna, nigdzie nie pisana  
i tak z serca płynąca, że aż niebo wzruszy,  
a on — wzrokiem monarchy — liczył kopy siana,  
które łąka mu wyda — i cieszył się w duszy.

Lewą ręką po kosie — jak po skrzypkach biegał,  
niby mistrz na koncercie, a prawą — jak smyczkiem;  
w dźwięki stali wsluchany — nawet nie spostrzegął,  
że aż żaby pobudził, śpiące pod strumyczkiem.

Las, zdumiony melodią, wstał i przetaił oczy,  
śpiesznie myje się rosą, poprawia fryzury,  
młodsza dziatwa sosniana zrywa się i tłoczy  
przy swych matkach i główki podnosi do góry.

Tam wiewiórka skoczyła ze starej świerczyny  
na sosnę przygarbioną — i tańczy oberka,  
a tu — para gołąbków — niby w zaręczyny —  
grucha kosie do wtóru i nieufnie zerka.

A skrzypkowie na kosach — pierwszy, drugi, trzeci —  
zagrywają łąkowe melodie z nut rosy,  
słońce im na nuty ostrym kątem świeci,  
a zapłata dla nich — te wonne pokosy.

## DOM

Założyli przyciesie, wiozą bale.  
Zwożą radość, którą cieśle  
czterema ścianami otulą  
i szczęście wżegnają modlitwą swej pracy.  
Ludzka nadzieja mieszkać tam będzie,  
chlebem izba zapachnie,  
kapustą — komora.

Dom łatwo jest zbudować  
i otoczyć go zorzą.  
A jak go cenić,  
wiedzą tylko ci,  
co orzą.

I jaskółki,  
zmiany pogody barometry latające,  
lubią żyć przy ludziach,  
pod strzechą,  
dla rozmnażania.

Otulony cieniem sadu dom —  
serce rozgrzewa zaciszem,  
radością jego istnienia  
i szczęściem —  
posiadania.

## PO ROSIE

Bywa, że czasem, rosą owiany,  
gdy wyjdę z domu, rankiem, o świcie,  
przypomni mi się — Boże kochany —  
młodzieńcze życie.

Każdy krzak wtedy śmiechem mnie witał,  
wróble ćwierkały nad mokrym dachem,  
a radość życia — ta, niespożyta —  
rosła z rozmachem.

Rosa się lśniła w porannym słońcu  
kulkami wody świeżo skroplonej,  
w głębi ogrodu, na samym końcu —  
krakały wrony.

Rośliny, wdzięczne ożywcej rosie,  
czekały pierwszych słońca promieni.  
Komu to mówić, czy temu kto się  
wstać rano leni?

Biegaj o świcie po trawie boso,  
w stopach poczujesz przyrodę całą,  
a jeśli zaziębisz się chłodną rosą —  
biegałeś za mało.

## ŻYTO

Posiane i rośnie.  
Nie wiem czy każdego,  
bo mnie żyto urzeka.  
Powszedni chleb w kłosach.  
Roku dosiego!  
Pokarm człowieka.

A faluje lan zboża w polu —  
jak rzeka,  
jak woda,  
a rolnik modli się,  
— gdy zbiorów czeka —  
by była pogoda.

Zebrał.  
Wiezie,  
śpieszy schować w stodołę,  
bo burza,  
bo błyska.  
Ptaki chmurą zlatują się w pole —  
na ścierniska.

Omlócił  
i już ma na stole  
świeże razowca bochenki.

Kto lubi chodzić często w pole,  
ten zna sens tej piosenki.

## ZABUŻANKA

Wieś mała, Zabuzanka —  
rozsiadła się przy samej szosie,  
dlatego, któregoś ranka,  
samochód przejechał prosię.

We wsi jest jedna ulica,  
wiatr z niej liście wymiata:  
tak, jak busoli iglica —  
wskazuje dwie strony świata.

Z obu stron tylko pole:  
żyto, jęczmień, pastwisko,  
a tuż przy ostatniej stodole —  
dla całej wsi kartoflisko.

Wzdłuż długiej wiejskiej ulicy  
sześć studni i tyleż żurawi,  
pod lasem jest źródło krynicy,  
ukryte w zaroślach i trawie.

Stąd woda rowkiem wypływa  
i tworzy przy drodze stawek,  
przy stawku roślinie pokrzywa,  
a w wodzie jest sporo pijawek.

Wieś ma swą szkołę powszechną  
z nauczycielką jak wiosna,  
wszyscy się do niej uśmiechną,  
gdy przyjdzie pomagać snuć krosna.

Nauczycielka i ludzie tej wioski,  
to jedna zgrana rodzina,  
ona rozumie ich troski  
i wieś ją rozumieć zaczyna.

Tak żyje ta Zabuzanka,  
ludzie wciąż zamoźniejsi,  
nauczycielka — Krakowianka,  
a oni? T u t e j s i .



## NIKODEM

Wieczorem, gdy żar zelżał i powiało chłodem,  
lubił usiąść na przyzbie wiekowy Nikodem,  
zagłębić się w zadumę, w to co jest zagadką,  
a często mu się myślało i lekko i gładko.

Więc myślał, że śmierć, zanim kogo zoczy,  
najpierw mu zagładnie w podstarzałe oczy,  
przytępi wzrok, świat zamgli uwiędłym myśleniem  
i starość przypomni jakimś innym cierpieniem.

Że nauczy człowieka siedzieć zamiast chodzić  
i że coraz bardziej, co zje, zaczyna mu szkodzić,  
że plecy, dawniej proste, w kabłąk mu przygniecie  
i tak zasępi, że żyć nawet nie miło jest na świecie.

A dawniej było inaczej — myślał dalej Nikodem —  
hulało się i tańcowało, gdy było się młodym,  
a jak czarkę się wypilo, czasem, z kompaniami,  
to aż iskry się krzeszało w tańcu podkówkami.

A ileż to się miało bez musu ochoty  
wstawszy rano, przed świtem, do dziennej roboty!  
Szło się z kosą na łąkę, słońce złotem grało,  
najpierw zorzą dziwiło, nim się pokazało.

A gdy siano suszyli, składali w kopice,  
to czyżbym nie przyhołubił moją angielicę?  
A hołasz ona była — żona moja miła!  
At, co tam przypominać — odeszła już siła.

## SADZAWKA

Maciej stary na sadzawkę chodził moczyć nogi,  
woda mu chlupała chatę i skrzypem podłogi.

Czasem siedział i godzinę na pieńku przy wodzie,  
dobrze mu tu było myśleć przy pięknej pogodzie.

Czasem widział w wodzie żonę, synów jak niedźwiedzie,  
to znów jak z Maryną swoją — on do ślubu jedzie.

Patrząc w wodę sfalowaną, widział na niej błyski,  
a na falach, jakby były — dwie dzieci kołyski.

Popa ryza tak błyszczała jak ta woda w stawie,  
kiedy słońce gra na falach i na mokrej trawie.

Stali wtedy razem w cerkwi i trzymali świece;  
pop powiedział, że oddaje ich boskiej opiece.

Ta opieka jednak była jakoś niezbyt święta,  
bo Maryna w trzy miesiące powiła bliźnięta.

Dwie kołyski w ich chałupie od sufitu zwisło,  
a Maryna wraz odeszła — i ich szczęście przysło.

Chłopcy jakoś się chowali, pomogła rodzina.  
Teraz jemu stoi w oczach ostatnia godzina.

„Jeszcze tylko przytuliła Borysa i Grzegorza  
i zamknęła oczy szklane — moja żona hoża“.

I spłynęły dwie łzy słone po Macieja twarzy.  
On tak często w samotności o Marynie marzy.

## POTĘGA MYŚLI

W pewnej wsi mieszkał Bazyl Siermiega,  
mędrzec to był nielada i myśli potęga.  
Kiedyś z wójtem tak się słownie zmierzył,  
że rozmowę z Bazylim wójt zaledwie przeżył.  
Siermiega go zapytał, gdzie jest Bóg, czy w niebie,  
czy w ziarnku żyta na polu, a więc, potem, w chlebie?  
Wójta tak zmieszało to pytanie Siermiegi,  
że aż mu wyskoczyły na twarzy sine pręgi.  
A Bazyl nadal twierdził, że mu rozum dyktuje,  
iż Bóg, tak mu się wydaje, wcale nie próżnuje,  
że pilnuje przyrodę, by spełniała jego wolę —  
i wchodzi w każde ziarnko — w polu, czy w stodole.  
I mówił: „Gdyby Pan Bóg ino w chmurach się kołysał,  
to kto by ewangelię dla nas tu napisał?”  
Wtedy wójt okiem nabrzmiałym Bazylego zmierzył  
i w stół ręką władzy ze złością uderzył.  
Lecz Siermiega nadal prawił swe wywody:  
„Ot, zobaczcie — powiada — ile w świecie wody,  
gdyby nie Bóg, kto by tę wodę na równi utrzymał?”  
Tego pan wójt, urzędnik, nie mógł i nie strzymał,  
wstał, aż Bazyl bał się, że znów w stół uderzy.  
Lecz wójt: że go sądzić będzie i karę wymierzy.

## ROZMOWA Z SOFIJĄ

Sofijo kwitnąca, barwna jak malina,  
jeszcze żadnej troski twoje serce nie zna,  
przy starych ty sosnach jak młoda sośnina —  
żyjesz sobie — wolna jak ptak, niezależna.

Jeszcze swą dojrzałość masz tylko dla siebie,  
jędrne piersi kusząco wystawiasz na podziw,  
nie ma tego w tobie, co jak ziarno w glebie  
kielkuje i plon daje, nowe życie rodzi.

Świat dla ciebie, to tylko zabawa i figle,  
nie znasz jeszcze uczuć ciężaru w twym łonie.  
Dziewczyno, nadejdzie czas odsunąć te rygle  
i miłość mu okazać, gdy serce zapłonie.

Zwiędnie pierś, przytulisz ręką swe dziecię —  
i potoczą się rzędem noce niedospane,  
potem — jak to bywa — przyjdzie drugie, trzecie,  
a przedwiośnie w snach tylko będzie pamiętane.

Potem — twarz twoja, dawniej rumiana i gładka —  
zmarszczkami się pokryje, a oczy blask stracą:  
dziewczęta nie myślą, że życie to zagadka,  
za rozwiązanie której — młodością zawsze płacą.

Tak cię widzę, Sofijo, rozkoszna dziewczuszko —  
i chcę ci to powiedzieć moim wierszem, właśnie,  
że jeżeli na drzewie i zostanie to jabłuszko,  
to dzisiejsza twa uroda też zblednie i zgaśnie.

## MAJ

Przyszedł maj — z różową majową jutrenką,  
coś się w niej zbudziło, bo była panienką.  
Chodziła po polu, po łące i lesie —  
i mówiła: „Nie wiem, ale czegoś chce się“.

Czasami dochodziło wprost aż do rozpacz  
i jeszcze nie wiedziała co to wszystko znaczy.  
Bywało, że płynęły łzy w kaskadach śmiechu,  
to znowu coś kusilo do jakiegoś grzechu.

Maki jej się śniły — kwitnące szkarłaty,  
to znowu — jak na obrazku — Bóg, stary, brodaty.  
Garściami maki rwała, tulila do łona...  
Aż Bóg palcem pokiwał i... zbudziła się strwożona.

Śniło się też czasami, że chłopak przychodził  
i chciał ją pocałować, ale Bóg przeszkodził.  
Zawsze, jak na obrazku, pełen groźnej miny, —  
nie miała gdzie się schować, tak pilnował dziewczyny.

Aż, pewnego razu, — zjawił się jak zorza —  
Janek, harmonista z bliskiego Zadworza.  
Najpierw stali pod wiśnią, która kwitła właśnie —  
i mówili — o niczym, ot — jakieś tam baśnie.

Późny już był dzień, na schyłku, gdy noc prawo bierze,  
gdy matka poprosiła ich do chaty na wieczerzę.  
Potem miłość wyznali, na ławeczce, koło chaty —  
i Bóg im nie przeszkadzał, choć nadal był brodaty.

## WIATRAK

Rogate sklecenie skrzypiące,  
co na bezludziu stoisz,  
powiedz, jak ci tam idzie,  
czy się stać w polu nie boisz?

Wetknęli ciebie do ziemi  
dębowym kosturem  
i nakryli jak karcznię  
gonciany kapturem.

Skrzydlatym cieniem — każdego  
ty często straszysz,  
metry mąki wypluwasz  
i worki kaszy.

Wiatrom stoisz oporem  
i wciąż ci ich za mało,  
chcesz, by bez przerwy  
serce ci kołatało.

Pragniesz, by kamień się kręcił,  
by mączyło się ziarno,  
by w domu pachniało ciastem  
i było gospodarno.

Lecz wiesz, że nie tylko od wiatru,  
mój ty skrzydlaty rozczapie,  
lecz dzięki myśli człowieka —  
ty się kręcisz i sapiesz.

## CHŁODEK CIĘ WYPIEŚCI

W lesie jest cicho, choć w czuprynach szmery,  
a tylko pod stopami to podszybie chrupi, —  
las chucha zdrową wonią nam do atmosfery,  
takich wonnych oddechów w mieście się nie kupi.

Więc bogać tu siebie wśród leśnych odnajdywać,  
siebie w lesie poznaj i zawrzyj przyjaźń leśną,  
pod stopami masz ściółkę jak puszysty dywan,  
czyż nie dobrze tu chodzić z malinową pieśnią?

Ucz się śpiewu leśnego, ucz się koron szumu,  
spisuj hymny leśne i zielone psalmy,  
od tych drzew stuletnich naucz się rozumu,  
bo ten rozum leśny jest prawie sakralny.

Chłodek cię wypieści jak matczyną dłonią,  
w drzewach znajdziesz przyjaciół, jak nigdzie wśród ludzi,  
las ciebie uleczy swą iglastą wonią  
i do życia lepszego twe serce pobudzi.

## GRUDNIOWE MARZENIA

Nagrzały się domy,  
ostygła ulica,  
otwarta już roku  
ostatnia stronica.

Biegają, chuchają,  
drepczą jak perliczki,  
a mroźne podmuchy  
rumienią policzki.

Na oknach omarzłych  
gwiazdek i mietlicy  
tyle, że przez szyby  
nie widać ulicy.

A sople pod dachem  
jak parkan szczerbaty.  
Dobrze wejść do domu  
i napić się herbaty.

Przyjemnie też w łóżku,  
gdy mroźny wiatr wieje,  
okryć się, noc przespać,  
aż ranek zadnieje.

Wstawać bez pośpiechu  
i napić się kawy,  
z flintą pójść do lasu  
na pierwsze obławy.

Ustrzelić zająca,  
gdy na strzał wyskoczy —  
I wrócić do domu  
do złotych warkoczy.

Ocieplić się wzrokiem,  
uśmiechem perlistym —  
i znowu się przespać  
w ciepłym łóżku czystym.



## W E R T E P Y

### P o l e s i e.

Gdzie jest taki kątek ziemi jak w Polsce Polesie,  
ptaki żyją tutaj wolno, a zwierzyna w lesie?  
W lasach woda ludzi straszy błyskami ułudy.  
Młodzież bawi się, a tańce ozdabia w „prysiudy“.  
Dusza Poleszuka w karbach — twardego wymogu,  
długi oddaje rzetelnie, resztę w cerkwi Bogu,  
bijąc wiernie Mu pokłony, paląc świece-druty,  
wierząc, że tyle wystarczy za winy — pokuty.  
Harda jest poleska dusza, choć w czynach pokorna,  
a u młodych jest ponadto — sękata, zadziorna.

Obraz jasny, trochę mglisty,  
jak mgliste Polesie,  
śpiew basowy, uroczysty —  
niknie aż gdzieś w lesie.

### W e r t e p y.

Gdzie zajedziesz po tych drogach, które w lesie giną?  
Co masz począć, gdy bagienko spotkasz za olszyną?  
Jedziesz prostą drogą leśną i masz plan dokładny,  
nagle droga się rozwidla i stajesz bezradny.  
Jedna cię prowadzi w lewo na teren bagnisty,  
druga skręca na bezdroże, na szlak korzenisty.  
Albo znowu wjedziesz — bywa — w jakieś grzęzawisko  
i krążysz tam wiele godzin, choć mówili: blisko.  
W innych krajach nie ma lasów, straszą ludzi stepy,  
na Polesiu stepów nie ma, za to są — wertepy.

Gdzieś tam stepy, tu rozłogi  
pomiędzy lasami,  
lecz Poleszuk zna swe drogi,  
choć błądzi czasami.

## Ł ą k a.

Na łąkach tak zielonych, że niebo zielenią,  
nawet kwiaty wielorakie tego nie odmienia,  
pną się tylko prosto w niebo — przez badyle trawy,  
wiatr kołysze wszystko razem, chyba dla zabawy.  
Pszczołom na łące kopalnia, motylom tawerna,  
ma tu także coś dla siebie jaskółka muchożerna.  
Czasem znów rojem wyskoczą makowe szkarłaty,  
wtedy łąka tak wygląda jak tkane makaty.  
A owady-linoskoczki brzęczą jak w talerze  
i w tych szmerach można słyszeć wieczorne pacierze.

Łąka szyta bez naparstka,  
ścieg — zygzakowaty,  
wielka sztuka to malarska  
tak malować kwiaty.

## S i a n o k o s.

Któraż z prac rolnika można z sianokosem zmierzyć?  
Ja rolnikiem sam nie jestem, lecz proszę mi wierzyć,  
że i na mnie bardzo działa wonność świeżej trawy,  
kiedy chodzę po pokosach — czasem dla zabawy.  
Lubię patrzeć na kopice już po wysuszeniu,  
nawet usiąść gdzieś i zdrzemnąć za kopicą w cieniu.  
I tu muszę dodać jeszcze, że zapachy siana  
nastrajają jak melodia przez mistrza zagrana.  
A czy kiedyś spał kto na wsi w stodole na sianie?  
To się wyspał lepiej niżli w domu na tapczanie.

A te tajemnice w sianie,  
te szeptane czule słowa?  
Nic z nich jutro nie zostanie,  
bo je zjedzą koń lub krowa.

## L a s.

Gdzie szukają równych sosen na przydrożne krzyże,  
świerk gałęzie swe opuszcza, sosna chmury liże,  
pnie się, może chce być masztem wielkomorskiej łodzi  
i czasami to dążenie tej sosnie wychodzi.

Rzadko kto wie jak wiekowy stary las wygląda,  
gdzie z trudnością słońca promień w głąb jego zagłada,  
tylko z trudem wypłaszając leśny mrok i cienie,  
chcąc rozjaśnić aż w podszyciu soczyste zielenie,  
chcąc okadzić borowiki, zwykle blade w cieniu,  
a i tym, co słońca pragną, dać też po promieniu.

Gdy las się budzi rano  
w rozśpiewanym świcie,  
to w koronach już szeptano —  
o bycie i niebycie.

## R z e k a.

W oparach sypia rzeka — pod strażą szuwarów,  
w mule leżą kości — Szwedów, Francuzów, Tatarów.  
Zdarzają się i poleskie — z łódki-duszehubki,  
wydlubanej z drzewa kłody domowej obróbki.  
Słońce w rzekę ledwie wnika, przez wierzby, olszyny,  
by pogłaskać wodorosty, czy łąk podgoliny,  
by wypłoszyć z rzeki smutek, rozwiać tajemnice,  
z których słyną dość szeroko tamte okolice.  
Tak jak izba jest tu zawsze ważna dla człowieka,  
tak dla śmigłych cyraneczek niezbędna jest rzeka.

Niewód, łódka i wścierze,  
to narzędzia Poleszuka,  
a od zguby tu go strzeże  
z dziada-pradziada nauka.

## Ż n i w a .

Plecy w kabląk, ręka chwyta garść słomy z kłosami,  
chłop je wiąże, stawia snopy i rusza wąsami,  
bo ten ruch, to jego radość z ciężaru kłosiwa.  
W letnim znoju wszystkim w polu pot po twarzy spływa.  
A gdy snopy z pola zwożą, — myślą o niedzieli,  
bo im klekot kół gra piękniej od wiejskiej kapeli.  
Czasem żną gdzie blisko drogi i ktoś ich pozdrowi,  
więc go zaraz na powrosło żniwiareczka złowi.  
On, by z biedy się uwolnić, bo to żart nie głupi,  
sięgnie szybko do kieszeni i z pęt się wykupi.

Tak się chleb powszedni rodzi  
w znoju i spiekocie,  
może wy nie wiecie, młodzi,  
w jak ciężkiej robocie.

## P s z c z e l a r z .

Był ten pszczelarz bardzo stary, miał bielmo na oku,  
sił mu stale ubywało, wciąż każdego roku.  
Miał w pasiece pięć pni zwykłych, dwa ule ramowe,  
wszystkie stały w zagajniku, gdzie drzewa lipowe.  
Miał przy ulach i ławeczkę, od niej, kulejący,  
chodził wolno do swych uli w letni dzień gorący.  
Aż któregoś dnia tak zasłabł w codziennym chodzeniu,  
że się z miejsca już nie ruszył, poprzestał na siedzeniu.  
Już nie dojrzał jak pasieka coraz się wykrusza,  
jak mu roje uciekają i... jak mu wyszła dusza.

Gdy przyniosła jeść w koszyku,  
bo na córki był on chlebie,  
już nie dała nieboszczyku.  
Dusza była w niebie.

## Z i m a.

Kleszcze mrozu zwarły wszystko — rzekę i jeziora,  
bagny zawsze zdradą dyszy — jak koszmarna zmora.  
Poleszuk wygląda zimny, czeka na mróz srogi,  
by przedostać się na łąkę, gdzie są siana stogi.  
On wie dobrze co mu grozi, z tym od wieków „zżyusia“,  
wie co znaczy to przekleństwo: „koby ty prowaliusia“.  
I wie także gdzie się kryje to niebezpieczeństwo,  
gdy lód pęknie, to się spełni odwieczne przekleństwo.  
Tam na łące w stogach siano — dla konia, dla krowy,  
jeśli tego się nie zwiezie — głód stuprocentowy.

Śnieżna droga, mrozem ścięta  
i lód mocny pod kopytem,  
to nadzieja, że bydłęta  
przetrzymają zimę syte.

## J a r m a r k.

Na chybotających kołach, po drodze często wyboistej,  
jadą na jarmarek, by „siorbnąć“ tej wody ognistej,  
coś sprzedać, coś kupić — w sklepach czy na rynku —  
i wygadać się dowoli w tym jarmarcznym młynku.  
Gdy chłop sprzedał już cielę, baba jaj pół kopy,  
to się w karczmie spotkali — i z babami — chłopcy.  
Rozmawiali jak z nich któryś sprzedał owcę, gąskę,  
Jankiel podał butelczynę i śledzia na zakąskę.  
Koń potruhczył teraz zwawiej tą drogą poleską,  
a chłopu szumiało w głowie — nalepką niebieską.\*)

Baba wiozła w podarunku  
dla siebie trzewiki,  
a dla dzieci w poczęstunku —  
cukierki, pierniki.

---

\*) *Najtańsza wódka w Polsce miała niebieską nalepkę na butelce.*

## R z e m i o s ł o.

Biorą przykład Poleszuki jak ptak gniazdo kleci,  
więc dla siebie też potrafią wiązać z nici sieci.  
Baba mężowi wzorzyście koszulę ozdobi,  
a on, bednarz-samouczek, z klepek co chce zrobi:  
cebry, wiadra i wiaderka, dzieże, miski, fasy  
i koszyki z nakrywkami na kółka kielbasy.  
Inni toczą kołowrotki z brzeziny lub gruszy,  
drzewo na to przed obróbką parę lat się suszy.  
Sami też budują wozy, okna, drzwi i stoły,  
choć tej wiedzy nie wynieśli z rzemieślniczej szkoły.

Lny, a potem z nich koszula,  
„hładyszki“ i miski,  
ławy, stolki, nawet ule —  
dla dzieci kołyski.

## K a r c z m a.

Zaraz za wsią, na rozdrożu, w ziemię wpół wrośnięta —  
stoi karczma, szynk z zajazdem — jak kwoka nadęta.  
W karczmie szynkarz, rosły Jankiel, z zarostem na brodzie  
i kaczmarka, młoda Sroka — z mężem w pełnej zgodzie.  
Raz w tygodniu, tam grajkowie, stłoczeni w kapelę,  
grać przychodzą na tańcówkę młodzieży — w niedzielę.  
Bywa, że i gość podróżny w tym zajeździe stanie,  
Sorka zaraz mu przyrządzi z jajkami śniadanie  
i do niego nawet cmoknie, jeśli gość jest młody,  
bo szynkarka, to egzemplarz żydowskiej urody.

Kaczmareczko, bądź ostrożna,  
mąż przez szparkę widzi.  
— Wiem co można, co nie można, —  
mąż i ja — to Żydzi.

## W i e c z o r y n k i.

Gdy przedwieczny zew do tańca w sercu się urodzi,  
coś ich skusi, więc się zejdą w którejś chacie młodzi.  
W każdej wiosce są zazwyczaj muzykanci swoi,  
a ich liczba nawet czasem dwoi się i troi.  
Harmonista bywa w palcach sztukmistrz wieloraki,  
sam zagrywa jak wichura, innym daje znaki.  
A i skrzypek, co piskoli, wart dobrego gracza,  
aż się chata z tancerzami pijana zatacza.  
I tak tańczą do północy pod takty oberka,  
aż babula kiwa głową i na młodzież zerka.

I już dość, do domu czas,  
wszystko ma swój kres,  
wiedzmy odlatują w las  
i rogaty, czarny bies.

## Z a b o b o n y.

Wracam, nie pojedę — zając przebiegł drogę.  
Nie jedź przez mogilki, bo koń złamie nogę.  
Spotkał babę z pustym wiadrem i zawrócił z drogi.  
We wsi mieszka duch nieczysty, bo przewraca stogi.  
Chłop pijany wracał z miasta ze starą żoną, Jagną,  
jakiś czort drogę im zmylił — aż zagonił w bagno.  
Może stali by tam długo, gdyby nie krzyż święty,  
chłop przeżegnał miejsce czarcie i zginął „przekłęty“.  
We wsi żyje stara wiedźma, co szkodzi szkaradnie,  
kiedy powie coś o krowie, to mleko przepadnie.

Nie stąp lewą nogą, wstając,  
nie lej wódki w lewo,  
nie oglądaj się wracając,  
omiń z dala drzewo.

## W e s e l e.

W jednej chacie była uczta, w drugiej tańcowali,  
a tak hucznie, że się zdało — chata się rozwali.  
Jadła sporo, bo zabili wieprzka i barana,  
dość też wódki, bo starczyła na trzy dni do rana.  
Pani młoda, Katarzyna, miała lat dwadzieścia,  
w tańcu sprytna, bo bywała na tańcach i w mieście.  
A pan młody, zuchowaty, przytupywał żwawo  
i obracał swoją Kaškę — raz w lewo, raz w prawo.  
Tańcowała cała wioska trzy długie wieczory,  
a kto miarę przebrał w picciu, ten odleżał chory.

Takie to wesele Kachny  
i Jurka Kalety,  
a co było po weselu,  
to już ich sekrety.



## CZY JESZCZE PAMIĘTASZ?

Te olchy tam nad rzeką i niezapominajki,  
które się niebieścily aż bolało oko,  
te pliszki nad wodą i krzykliwe czajki,  
a także jaskółki w obłokach wysoko?  
Chodziło się tą drogą czasami na cmentarz.  
Czy jeszcze pamiętasz?

A tam, w oddali było bujne kartoflisko,  
a przy nim, na ugorze, lebiody wysokie,  
między nimi chwasty ścielące się nisko  
i ściernisko po życie — rozległe, szerokie.  
Taki bywa rolniczej krescencji inwentarz.  
Czy jeszcze pamiętasz?

A w samej wiosce — już dojrzałe wiśnie  
i ławeczka pod lipą, nocnych westchnień świadek;  
strach w każdym domu, gdy burza i błysnie,  
garść zazdrości i plotek złośliwych sąsiadek.  
I to jest wiejskiego życia elementarz.  
Czy jeszcze pamiętasz?

Więc do tej wioski, gdzie się świat ujrzało  
i gdzie te polne ścieżki deptało się boso,  
gdzie pierwszą miłością dziewczęcę się kochało,  
niech anieli po śmierci duszę mą zanosą.  
Zbędny już chyba będzie do tego komentarz.  
Czy i to pamiętasz?

## CHATA

Tyś mu na całe życie — i schron, i siedziba,  
malwami ubarwiona, przytulna ostojo,  
miła jesteś rolnikowi jak za pługiem skiba,  
nie trzeba go się pytać czy ceni chatę swoją.

W chacie jest historia urodzin i śmierci,  
szczęście życia rolnika też w izbie się gnieździ,  
tu spędza swego wieku przynajmniej trzy ćwierci,  
stąd do cerkwi, do miasta i do lasu jeździ.

W chacie radość codzienna, lub też przypadkowa,  
jaka bywa i ile — niech zaświadczą belki,  
które widzą z wysoka jak szczęście się chowa  
i jak się je wypija do ostatniej kropelki.

Wszystko co się odbywa pod strzechy nakryciem,  
wszystkie troski, nadzieje i urocze chwile,  
są dla domowników najkrajniejszym życiem,  
które nawet po latach wspomina się mile.

Tutaj lata dziecinne, wiek złoty, siwizna,  
tutaj twarze się marszczą i plecy garbieją,  
ale chata jest miła i każdy to przyzna,  
że okna jego izby do rolnika się śmieją.

Chata jest przystanią do grobowej deski,  
codziennym odpoczynkiem, przygodną uciechą.  
Tak pisze, bo tak myśli cały lud poleski,  
że mu żyje się mile pod słomianą strzechą.

## MÓJ DOM

Ziemio moja poleska, w puszczech zagnieżdżona,  
ty mi stajesz w pamięci po nocach i we dnie,  
grzybami pachnąca, zielenią nasyciona,  
do ciebie moje myśli wracają bezwiednie.

Myślami tam błędzę — nad Jasioldą i Piną,  
po Muchawcu pływam łódką płaskodenną —  
i te wszystkie widoki z oczu mi nie giną,  
choć jestem zajęty moją pracą codzienną.

Wrzosowisko mi pachnie, a na brzegu lasu  
widzę malin kępki, aż pod starym borem:  
poszedłbym tam z koszem, lecz dziś nie mam czasu,  
a kiedyś dość go było, w dzień i przed wieczorem.

Spod miedzy wyskoczył duży zajęc-szarak  
i pokuczał skokami wprost do lasu, w krzaki.  
Piosenka to prosta i jak świat jest stara,  
że spod miedzy wyskakują zajęce-szaraki.

Ale dziś, tu, w tym dymie i jazgocie maszyn,  
tamte leśne wspomnienia o zajęczych skokach,  
są tym ukojeniem i szczyptą okraszyn  
na nerwy potargane w fabrykach i dokach.

A ileż było tajemnic w poleskich moczarach,  
gdzie kwitła pełna wolność ptactwa i zwierzyny,  
gdy ranek wstał po nocy we mgłach i oparach  
i słońce suszyć zaczęło mokre listki olszyny?

A czy to nie poezja — poranne grzybobranie?  
Mokre gałązki sosny rosą cię przemoczają,  
snu nocy sobie urwiesz, bo wcześniej się wstanie,  
ale w koszu są grzyby — zbierasz je ochoczo.

I liczysz borowiki — na sztuki, na kopy,  
a w oczach stają grzyby, nawet później, w domu.  
Dziś, z dala od Polesia, od całej Europy,  
jeszcze się je widzi — dziecinnie, pokryjomu.

I widzi się te czajki, pobudkę grające —  
i błotnych piosenkarzy, cietrzewie na tokach,  
stadko śmigłych cyranek nad bagnami mknące —  
i szare gęsi w jesieni, daleko w obłokach.

I gdzie tu szukać prozy w tych bagnach i mszarach,  
w każdym calu poezja tu kwitnie i żyje, —  
płyniesz łódką po rzece, schowany w szuwarach,  
a wszystko dookoła — poleskie i niczyje.

Poleszuk jest tu panem i tych bagien księciem,  
zaślubiony z lasem, z niedostępną rzeką, —  
cichy mocarz natury, przekonany święcie,  
że Polesie dla niego — i domem, i Mekką.

## PRZEPRASZAM

Przepraszam was szumiące lasy,  
przepraszam was zbożowe lany,  
przepraszam, że tej waszej krasy  
nie podziwiałem — ja, splakany.

Łza mi się kręci smutna w oku  
gdy o was myślę — i zakrywa  
dawniejszą pamięć — i widoku  
tamtego piękna mi ubywa.

Przepraszam was stokrotki polne  
i te strumyki srebrem lśniące,  
w swym biegu żwawe i swawolne —  
i maki w złocie zbóż płonące.

Przepraszam jaskry, osty, miętę,  
konwalie, lilie i bławaty,  
przepraszam zboża świeżo zżęte  
i wszystkie ogrodowe kwiaty.

Przepraszam rdesty i kąkole,  
piołuny, skrzypy i pokrzywy.  
Rolnik nie lubi was w stodole,  
a dla mnie widok wasz jest żywy.

Przepraszam chmury z piorunami  
i grad siekący w polu zboże —  
dzisiaj przypominam was ze łzami  
i nikt mi ulgi dać nie może.

O, gdyby przyszła taka chwila,  
by, siedząc w sadzie przy jabłoni,  
mógłbym podziwiać jak motyla  
któreś z prawnucząt w biegu goni.

By z wędką w ręku sięść nad rzeką  
i patrzeć na pływak, czy ruszy.

Czemuż ja sięgam tak daleko  
aż ta odległość pamięć suszy.

Ja niepotrzebnie o tym piszę  
i niepotrzebnie to rozgłaszam,  
lepiej się schować gdzieś w zasisze  
i... powiedzieć — przepraszam.

## KONCERT

Na dachu przysiądzie ptaszek, a człowiek pod dachem,  
Powój po ganku aż do strzechy pnie się  
i za słomę się łapie w powojowym zakresie.  
Wioska słomy nie zmieni na gonty czy blachę.

Na odwieczerz, gdy słońce stoczy się w topole  
i gdy krowy z porykiem do obór się zbliżą, —  
matka, w domu, — już z gotową spyżą,  
z radością, zgłodniałych przywita przy stole.

A gdy wieczór gwiazdzisty stanie w okolicy,  
na ganku, ze skrzypcami, na sosnowej ławie  
siądzie syn gospodarza, a w krąg na murawie  
przykucną, by posłuchać, inni domownicy.

I popłynie muzyka w wieczorową ciemność:  
krakowiaki, oberki, kliwie kujawiaki, —  
aż w ogrodzie, przy chacie, roztańczą się maki.  
Taką ganek daje wieczorem przyjemność.

## SZARA GODZINA

Czeremchowe zapachy tuż przed Wielkanocą,  
i jabłka — już pod jesień — co się w słońcu złocą,  
i perły rosy porannej, co na trawie leży,  
i klekoty bocianów na dachu stodoły,  
i pogwarki dzieciaków idących do szkoły —  
wszystko stoi mi w myśli. Któż w to nie uwierzy?

A lubię — po pracy — w tę szarą godzinę,  
kiedy słońca już nie ma i niebo jest sine,  
bez światła i w ciszy — wierzcie, czy nie wierzcie,  
siedząc tu w fotelu, w dal myślami gonić,  
guziki naciskać i — do domów dzwonić,  
nie tutaj, — a w moim na Polesiu mieście.

Lubię w sadzie pochodzić, posłuchać pszczół brzęku,  
muchy wypuścić na wolność, uwieźle w okienku,  
ptakom ziarna sypnąć, usiąść na ławeczce,  
zapachami się sycić, pierś napelnić do dna —  
i siedząc, patrzeć w gwiazdy, chociaż noc jest chłodna,  
a potem zapisać to w mojej książeczce.

Aż maciejka zapachem silnym mnie odurzy —  
i aż dusza zabłądzi w astralnej podróży —  
i wpadnie, strwożona, — za sąsiada miedzę  
na łąk falujący od wiatru podmuchu,  
z podziwem, przystając w zadumie, bez ruchu.  
W pokoju już jest ciemno, a ja w fotelu siedzę.

Lecz po co mi te miraży, te myśli płochliwe  
i tamtych dni obrazy przed oczami żywe?  
Nie zobaczę już rosy, ni wron na ścierniskach,  
ani tamtych zakątków, gdzie biegałem wolno  
obok łąk ukwieconych znaną ścieżką polną.  
W pamięci stają mi tylko tamte miejsca i nazwiska.



## FLIRT

Tuman z Mgłą w sąsiedztwie żyli,  
oczkowała doń zalotnie,  
a że on się czuł samotnie,  
więc tak łatwo się zbliżyli.

Kiedyś w chmurny dzień i mglisty  
podpełzł do niej Tuman z dali,  
tak się czule całowali,  
że z nich powstał deszcz kroplisty.

Innym razem Mgła ospała,  
kusicielka-zalotnica,  
nawet przy świetle księżyca —  
z Tumanem się całowała.

Aż słońce wyszło na wschodzie,  
promieniami zaigrało,  
z biednej Mgły nic nie zostało,  
a Tuman utonął w wodzie.

## SŁÓW MIĘCZAKI CHWYTAĆ

Jeżeli chcecie kupić ten cień pod kasztanem,  
to nie ode mnie, bo go wam nie sprzedam,  
umówilem się z tutejszym księdzem plebanem,  
że cień ten mam dla siebie i nikomu nie dam.

Stąd widok mam na strumyk, jasny i srebrzysty  
i na łąkę zieloną aż po lasu brzegi,  
na młyn wodny, nad którym stoi tuman mglisty,  
na wierzb starych przy drodze dwa długie szeregi.

Gdzie mi będzie lepiej, niż tu, pod tym drzewem,  
pod kasztanem, w cieniu — słów mięczaki chwytac,  
ozdabiać je ptaków całodziennym śpiewem,  
żeby ludzie już mogli ptasi śpiew przeczytać.

Co mi strofa się zbierze — zaknę ją w niezmiennność,  
dodam blasku i sercem własnym ją przykryję, —  
zapiszę, przeczytam — i mam tą przyjemność,  
że to jest tylko moje, moje — i niczyje.

## TESTAMENT

Już pociąg zdyszany nadchodzi,  
za lasem światłem błyska.  
Do was się zwracam, młodzi,  
nie zgubcie mego nazwiska.

Z poleskich moczarów wyrosło,  
po drogach poleskich chodziło.  
Nie talent to był, nie rzemiosło —  
pisałem — jak wychodziło.

Wam młodym zostawiam spuściznę,  
nie zgubcie znizanych koralu,  
obyście mą ojcowiznę  
znali i o niej czytali.

I bukiet z polnych kwiatów,  
nie innych, tylko poleskich,  
niech leci do zaświatów,  
gdy stanę u bram niebieskich.

Tam, na wybrzeżu Muchawca —  
niezabudek — aż się niebieści.  
Gdy jesteś od wierszy znawcą,  
nie szukaj błędów w ich treści.

## SPIS TREŚCI

	Str.
BAJKO MOICH WSPOMNIENÍ	5
WSZYSTKO PRZEMIJA	6
NAUCZCIE SIĘ	7
ZA KORONKOWE WIECZORY	8
A WOREK PLECY GNIECIE	9
CIERNIOWA KORONA	10
REFLEKSJE	11
POKŁON PASTERZY	12
TU BYŁA MOGIŁA	13
SIANOKOS	14
DOM	15
PO ROSIE	16
ŻYTO	17
ZABUŻANKA	18
NIKODEM	19
SADZAWKA	20
POTĘGA MYŚLI	21
ROZMOWA Z SOFIJĄ	22
MAJ	23

WIATRAK	...	...	...	24
CHŁODEK CIĘ WYPIEŚCI	...	...	...	25
GRUDNIOWE MARZENIA	...	...	...	26
WERTEPY	...	...	...	27
Polesie	...	...	...	27
Wertepy	...	...	...	27
Łąka	...	...	...	28
Sianokos	...	...	...	28
Las	...	...	...	29
Rzeka	...	...	...	29
Żniwa	...	...	...	30
Pszczelarz	...	...	...	30
Zima	...	...	...	31
Jarmark	...	...	...	31
Rzemiosło	...	...	...	32
Karczma	...	...	...	32
Wieczorynki	...	...	...	33
Zabobony	...	...	...	33
Wesele	...	...	...	34
CZY JESZCZE PAMIĘTASZ? ...	...	...	...	35
CHATA	...	...	...	36
MÓJ DOM	...	...	...	37
PRZEPRASZAM	...	...	...	39
KONCERT	...	...	...	41
SZARA GODZINA	...	...	...	42
FLIRT	...	...	...	43
SŁÓW MIĘCZAKI CHWYTAĆ	...	...	...	44
TESTAMENT	...	...	...	45

